

Kacper Poblöcki
**PRAWO DO
ODPOWIEDZIALNOŚCI**

*Flaga na maszcie
Irak jest nasz
A rower jest wielce OK
Rower to jest świat.*

LECH JANERKA, ROWER

*Głupi ludzie wierzą w głupie bzdury
Mądrzy ludzie wierzą w mądre bzdury.*

DEZERTER, BZDURY

*Działalność charytatywna na ponuro
zawsze wydawała mi się nieco podejrzana.*

JERZY OWSIAK

I

Koszmar partycypacji Markusa Miessena należy do tych książek, które należy przeczytać, a następnie wyrzucić. Wszyscy zachęcani do lektury tytułowym hasłem „partycypacja” na pewno będą rozczarowani i pozbędą się jej nawet wcześniej. Inaczej niż w większości książek pisanych przez architektów, takich jak Léon Krier czy Jan Gehl, tutaj nie ma porad, jak przebudować miasto ani nawet – jak to bywa w publikacjach sygnowanych przez Rema Koolhaasa czy w przetłumaczonym ostatnio klasyku Roberta Venturiego – jak je lepiej zrozumieć¹. Nie jest to książka o tym,

1 Léon Krier, *Architektura wspólnoty*, tłum. Piotr Choynowski, słowo / obraz terytoria, Gdańsk 2011; Jan Gehl, *Życie między budynkami. Użytkowanie przestrzeni publicznych*, tłum. Marta A. Urbańska,

co robić, ale o tym, czego unikać. Nie stanowi ona katalogu dobrych praktyk, jest raczej przewodnikiem po polu minowym. Miessen zaprasza nas na swoisty seans terapeutyczny, abyśmy sobie uświadomili, jak sami się oszukujemy i pozbawiamy zdolności do działania na rzecz realnej, a nie fasadowej zmiany. To książka szczególna. Autor mówi wprost to, co wielu z nas podskórnie przeczuwa: jesteśmy wciągani do współdziałania w wielkiej ściemie. Pokazuje, jak zupełnie niepostrzeżenie pewien ideał przerosł się we własną karykaturę². Dlatego książka ta powinna zostać w Polsce starannie przeczytana. Potem można, a nawet należy się z nią rozstać. Ale trzeba zrobić to z właściwych powodów.

Koszmar partycypacji jest publikacją programowo jednorazową również ze względu na sposób, w jaki Miessen podchodzi do zdobywania wiedzy i dzielenia się nią. Głównym celem tego książki jest wskrzeszenie „człowieka publicznego”, którego śmierć, jak świetnie pokazał to Richard Sennett³, była związana m.in. z pojawieniem się w XIX wieku „systemu gwiazdorskiego”. Uczestnictwo w życiu publicznym przestało polegać na ścieraniu się racji politycznych, a stało się areną do prezentacji prywatnego „ja”. Sennett pokazał, jak wprowadzono – zarówno do miasta

Wydawnictwo RAM, Kraków 2009; Robert Venturi, Denise Scott Brown, *Uczyć się od Las Vegas. Zapomniana symbolika formy architektonicznej*, tłum. Anna Porębska, Karakter, Kraków 2013; Rem Koolhaas et al., *Mutations*, Actar, Barcelona–New York 2001; Rem Koolhaas, *Deliryczny Nowy Jork. Retroaktywny manifest dla Manhattanu*, tłum. Dariusz Żukowski, Karakter, Kraków 2013.

- 2 Bardzo podobny argument dotyczący „społeczeństwa obywatelskiego” został przedstawiony ostatnio w książce Pawła Stefana Załęskiego, *Neoliberalizm i społeczeństwo obywatelskie*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2012.
- 3 Richard Sennett, *Upadek człowieka publicznego*, tłum. Hanna Jankowska, Warszawskie Wydawnictwo Literackie „Muza”, Warszawa 2009.

czy polityki, jak i sztuki – podział na genialnego intelektualistę, artystę i polityka oraz niemy, uziemiony na widowni tłum, którego głównym środkiem ekspresji stały się okłaski (bądź ich brak). System ten do dziś króluje w akademii, sztuce, czy też biurach architektonicznych, i sprawia, że w tych zawodach jest się albo kimś, albo nikim – albo grubą rybą, albo planktonem. Książka Miessena nie jest kolejnym manifestem kandydata na architekta, a kult *ego*, który w dużej mierze rządzi prawami rynku sztuki, architektury i wiedzy, to ślepa uliczka, z której Miessen próbuje nas wyprowadzić. Sformalizowane i zbiurokratyzowane instytucje coraz rzadziej są miejscami, gdzie rodzi się wartościowa wiedza. Dlatego książka ta pisana jest z perspektywy marginesu i nie stanowi kolejnej cegiełki dołożonej do ogromnej biblioteki wiedzy z dziedziny architektury, urbanistyki, socjologii czy geografii, ale jest kamieniem, który wybijając okno, wpuszcza do ogarniętego duchotą budynku świeże powietrze.

Jest nam ono niezwykle potrzebne. Przestrzeń debaty publicznej staje się coraz mocniej zdominowana z jednej strony przez gadające głowy, znające się na wszystkim, czyli niczym, a z drugiej – przez wyspecjalizowanych ekspertów mówiących językiem, który tylko oni sami są w stanie zrozumieć. Aby wyjść poza tę dychotomię, Miessen szuka nowej formy wypowiedzi. Gilles Deleuze stwierdził kiedyś, że przerażają go „ludzie dobrze wykształceni” pokroju Umberto Eco, który kojarzy mu się z przyciskiem – wystarczy nacisnąć, a popłynie erudycyjna wypowiedź na zadany temat⁴. Eco jest bodaj najwyśmienitszym produktem systemu gwiazdorskiego i kapitalizmu, w którym zdobywanie wiedzy jest równoznaczne z jej akumulacją. Wykłady Eco na uniwersytecie w Bolonii są podobno

4 Pierre-Andre Boutang (reż.), *Gilles Deleuze from A to Z*, Semiotext(e), U.S.A, Canada 2012.

wyglaszane przez jednego z jego asystentów, podczas gdy słynny profesor siedzi rozparty na fotelu ulokowanym na podwyższeniu i emanuje swoją osobowością na salę. Miessen, w odróżnieniu od omnibusa Eco, nie buduje swojego autorytetu na przytaczaniu mało znanych faktów, przeprowadzaniu erudycyjnych paraleli czy rzucaniu błyskotliwych bon motów. Nie lansuje w tej książce swojego „ja”, a nawet, co sugeruje zdjęcie z ukrytą twarzą, odsuwa je na drugi plan. I właśnie z tego ukrycia serwuje nam montypythonowski miętowy opłatek, którego celem ma być rozsadzenie nadętej świątyni wiedzy zarządzanej przez kapłanów systemu gwiazdorskiego.

Inaczej niż w znanych publikacjach tuzów współczesnej architektury nie szafuje się tutaj obrazami, diagramami, rysunkami ani zdjęciami. Są wyłącznie słowa. Ale nie stanowią one wykładu. Miessen poukładał poszczególne fragmenty w taki sposób, by *Koszmara partycypacji* stanowił książkę do prze-myślenia, a nie do prze-czytania. Jej przedmiotem nie jest to, co jest, ale to, co mogłoby być. Nie to, co możemy już naszkicować albo pokazać na slajdach, ale to, czego jeszcze nie potrafimy sobie wyobrazić. Deleuze twierdził, że przy każdym nowym projekcie zapomina o wszystkim, czego dowiedział się wcześniej. Z wyjątkiem Spinozy zawsze pozostającego w jego sercu. W tym sensie książka Miessena jest wybitnie deleuziańska, gdyż wychodzi z pozycji filozofii „stawania się”, a nie filozofii „bycia”⁵. Jej celem nie jest zaserwowanie nam gotowego pakietu zgromadzonych wcześniej informacji, tylko odblokowanie pewnego potencjału do działania, uspio-nego w ramach systemu opartego na sztywnym podziale na producentów i konsumentów wiedzy.

5 Gilles Deleuze, Félix Guattari, *A Thousand Plateaus: Capitalism and Schizophrenia*, tłum. na ang. Brian Massumi, University of Minnesota Press, Minneapolis 1987.

Ekлекtyczna forma tego tomu może być jednak złudna. Dlatego postanowiłem, nieco na przekór samemu Miessenowi (który ostrzega, że jego książka może być koszmarem dla naukowców), napisać akademickie wprowadzenie do tej antyakademickiej książki. Deleuze zauważył, że w *Etyce* Spinoza wykłada swoją filozofię w dwojaki sposób. O ile we właściwym tekście mamy do czynienia z bardzo rygorystyczną, wręcz matematyczną, formułą przedstawienia argumentu, to w przypisach Spinoza mówi to samo w bardzo swobodny, czasem nawet frywolny, sposób. Rygor jest drugim obliczem wolności⁶. Nie chciałbym, aby czytelnicy odnieśli wrażenie, że *Koszmar partycypacji* to postmodernistyczny kolaż w stylu *Zapisków na pudełku od zapalek* Eco czy nieszczęsnych *Lapidariów* Ryszarda Kapsińskiego. To nie jest katechizm mądrości tak zwanego wybitnego intelektualisty. Ci, którzy przywykli do książek-manifestów architektonicznych, mogą wręcz uznać ją za niepoważną. A jednak – zasługuje ona na bardzo poważne potraktowanie. Przy czym nie jest to dzieło do czytania na kolanach, głos kolejnego znanego zachodniego architekta-intelektualisty tłumaczącego nam, zwykłym ludziom, jak skonstruowany jest świat. To książka, którą proponuję potraktować czysto praktycznie: jako okazję do rozprawienia się z szeregiem rozpowszechnionych w Polsce mitów. Dlatego pragnę zwrócić uwagę na ograniczenia formy, jaką obrał Miessen, i pokazać, że można (a nawet trzeba) myśleć o mieście i demokracji w proponowany przez niego sposób. *Koszmar partycypacji* jest swoistą odpowiedzią na technokratyczny bełkot, który nieodmiennie towarzyszy komunalom serwowanym nam przez intelektualne gwiazdy. Miessen nie oferuje jednak żadnej kontrnarracji, która mogłaby nie tylko demaskować dominujący

6 Gilles Deleuze, *Expressionism in Philosophy: Spinoza*, tłum. na ang. Martin Joughin, Zone Books, New York 1992.

dyskurs o mieście, ale też pokazywać, co dalej. Dlatego potrzebny jest, moim zdaniem, bardziej sformalizowany komentarz do tej dość swobodnej w formie książki. Celem niniejszego przypisu jest zatem wykonanie owego ostatniego kroku, po którym będzie można z radością rzucić *Koszmara partycypacji* za siebie. Bo nie będzie nam już ta książka potrzebna.

II

Neoliberalizm jest, jak określił to Neil Smith, „martwy, ale dominujący”⁷. Martwy, gdyż nie generuje już nowych pomysłów; dominujący, gdyż nie zastąpiła go żadna inna ideologia. Jest też zatem heterofagiczny – żywi się tym, co znajdzie naokoło. To właśnie wyjaśnia zagadkę partycypacji i tłumaczy, dlaczego to słowo zrobiło tak ogromną karierę. Najlepiej widać to na przykładzie budżetów partycypacyjnych w Polsce. Gdy w 2005 r. pisał o tym Rafał Górski, budżety partycypacyjne powszechnie uważano za nierealny postulat anarchistów⁸. W chwili obecnej pomysł wdrożony został do kilkudziesięciu miast, począwszy od Warszawy, Poznania i Gdańska, przez Sopot czy Radom, po Dąbrowę Górniczą⁹. W większości przypadków takie budżety nie są narzędziem do zwiększania udziału mieszkańców w podejmowaniu istotnych decyzji, ale czymś na kształt konkursu grantowego albo teleturnieju audiotele. A nawet i tam, gdzie oprócz głosowania przeprowadza się spotkania i dyskusje z mieszkańcami, jak w tym roku w Łodzi, okazuje się, że ostateczne wyniki przypominają bardzo

7 Neil Smith, *The Revolutionary Imperative*, „Antipode”, t. 41, styczeń 2010, s. 56.

8 Rafał Górski, *Bez Państwa. Demokracja uczestnicząca w działaniu*, Korporacja Ha!art, Kraków 2007.

9 Wojciech Kęłowski, *Budżet partycypacyjny. Krótka instrukcja obsługi*, Instytut Obywatelski, Warszawa 2013.

to, jak Polacy gospodarują swoim jednym procentem podatku dochodowego. Projekty, na których koncentruje się uwaga, to zwykle hospicja, schroniska dla zwierząt, kosze na psie odchody, place zabaw czy stojaki rowerowe. Większość z nich ma charakter czysto kosmetyczny i nie prowadzi do realnej, systemowej zmiany, a jedynie do załagodzenia nieprzyjemnych konsekwencji obecnego sposobu zarządzania miastem. Mimo to sama idea angażuje tłumy – w Łodzi w tym roku na projekty oddano łącznie blisko sto trzydzieści tysięcy głosów. Neoliberalizm pożarł budżety obywatelskie, aby umocnić swoją dominację.

Partycypacja to gra podwójnie pozorowana. Po pierwsze władze dają mieszkańcom do dyspozycji jeden procent budżetu miasta (lub mniej) właśnie po to, by móc w większym spokoju dysponować pozostałymi dziewięćdziesięcioma dziewięcioma procentami. Mają w ten sposób gotową odpowiedź na zarzut, że nie liczą się z potrzebami mieszkańców. Organizują konsultacje społeczne przy uchwalaniu miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego, ale najczęściej konsultuje się już w zasadzie gotowe projekty, a spotkania te służą jedynie jako wentyl bezpieczeństwa dla społecznego niezadowolenia. Władze wysyłają na takie spotkania urzędników-zderzaki, wprawionych w przyjmowaniu na siebie żalów, oskarżeń czy wręcz obelg. Ludzie mają się okazję wygadać, a potem wszystko wraca do normy. Zresztą zaangażowanie zostaje zawłaszczane nie tylko przez władze, ale także przez rynek. W Warszawie niedługo po tym, jak w niewyjaśnionych (do dziś) okolicznościach zamordowano działaczkę ruchu lokatorskiego, Jolantę Brzeską, na ścianie budynku przy Nowym Świecie pojawił się napis: „Zamiast minuty ciszy całe życie w walce”. W budynku mieścił się sklep Lacoste. Po jakimś czasie przejął go dystrybutor Apple i urządził tam salon firmowy o nazwie iMad, a na ścianie wymalował reklamowy mural. Marketerzy pracujący dla iMad-u nie

zamazali całego hasła upamiętniającego tragiczną śmierć Brzeskiej, ale tylko jego część, a wokół reszty stworzyli własną treść reklamową. Nauczyli się, że ekskluzywnym markom nie przystoi rozwieszać na budynkach wielkich płacht reklamowych, więc stworzyli mural, który nie wyglądał jak reklama, a wręcz był antyreklamą. Zrozumieli, że dziś zaangażowanie, a nawet wściekłość świetnie się sprzedają. I w ten sposób, przerobiwszy napis na własne potrzeby, pożarli i historię, i ślad po Jolancie Brzeskiej.

Partycypacja jest kluczowym elementem kampanii typu *bait and switch*, będącej, jak twierdzi Barbara Ehrenreich, kwintesencją współczesnego kapitalizmu¹⁰. Klientów wabi się bardzo atrakcyjnym towarem tylko po to, by w ostatniej chwili podmienić go na coś innego, gorszego lub droższego, twierdząc, że po pierwsze reklamowany towar jest już niedostępny, a po drugie, nie ma przecież wielkiej różnicy między oryginałem a produktem zastępczym. Jednym z powodów, dla których władze coraz chętniej „dzielą się” miastem z mieszkańcami, jest to, że dzięki takiej transakcji mogą wytworzyć wrażenie, że wciąż nimi rządzą. Aby móc coś oddać, trzeba to najpierw mieć. Tymczasem bezradność dominująca w polskiej przestrzeni publicznej jest również udziałem władz. Jak pisze Krzysztof Nawratek, polskie miasta są dziś czarną dziurą, poprzez którą globalny kapitał wysysa zasoby z obszarów peryferyjnych. Samorządy nie rządzą, ale zarządzają miastem, a raczej tym, co z niego pozostało¹¹. Miasto dryfuje na falach globalnego kapitalizmu, a jego zarządcy chwytają się każdej brzytwy (zwłaszcza tępej), żeby wykazać, iż to oni

10 Barbara Ehrenreich, *Bait and Switch: The (Futile) Pursuit of the American Dream*, Henry Holt, New York 2006.

11 Krzysztof Nawratek, *Dziury w całym. Wstęp do miejskich rewolucji*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2012. Por. Artur Celiński, *Prawo do miasta, prawo do polityki*, „Res Publica Nowa”, nr 209: *Międzymieście*, jesień 2012, s. 4-10.

wciąż stoją za sterem. Do takich narzędzi manipulacji należą również rozwiązania z nurtu nowej urbanistyki, będącej obecnie najbardziej wpływową filozofią miejską w Polsce. Publikacja książki Miessena jest zatem szansą, aby rozprawić się również z niezwykle banalnością nowego urbanizmu, rozumianego jako przepis na reformę i uspołecznienie miasta. Dlatego chciałbym tutaj opowiedzieć o losach pewnej książki uważanej niemal za biblię aktywistów miejskich. Jesienią 2010 roku, podczas jednej z debat samorządowej kampanii wyborczej, poznańscy aktywiści podarowali tę książkę prezydentowi Ryszardowi Grobelnemu. Chcieli pokazać władzom, że można myśleć o mieście i jego mieszkańcach w inny, bardziej prospołeczny, sposób. Książka spodobała się tak bardzo, że blisko dwa lata później, 23 sierpnia 2012 roku, Ryszard Grobelny zaprosił jej autora na specjalne spotkanie w poznańskim Urzędzie Miasta.

III

Spotkanie miało charakter tajno-jawny. Jawny, gdyż zostało wcześniej zapowiedziane w mediach; tajny, ponieważ ani miejsce, ani godzina nie były podane do publicznej wiadomości. Na sali znaleźli się więc ci, którzy dostali imienne zaproszenia: począwszy od radnych miejskich i osiedlowych, przez architektów i akademików, przedstawiciele agend miejskich, na policjantach i strażakach kończąc. Przedstawiciele ruchów miejskich zaproszeń nie dostali, ale nikt nas też nie wyprosił. Dość szybko uświadomiłem sobie, że jestem świadkiem swoistego konwentu, na którym ustanawiana jest nowa ideologia władz miasta Poznania. Przyjdźcie i uczcie się tego języka od samego mistrza – takie przesłanie zawarte było między wierszami zaproszenia. Obecni na sali chyba wiedzieli, czego się spodziewać, bo wielu z nich przyniosło ze sobą egzemplarz

książki gościa, którą zresztą trzymano na stole obok oficjalnej strategii rozwoju Poznania do roku 2030. Była kawa, były kanapki, ale zaproszeni wykazywali się dużą powściągliwością. Najbardziej spięci byli bodaj mundurowi, umiejający z racji wykonywanego zawodu świetnie odczytywać nawet zakamuflowane i niewypowiedziane wprost rozkazy płynące „z góry”. Jedyną osobą wykazującą się odrobiną luzu był pewien wpływowy biznesman, który też jako jeden z nielicznych (nie licząc kilku aktywistów) nie przyszedł pod krawatem. Cóż, nie jest on bezpośrednio zależny od magistratu, więc na luz mógł sobie pozwolić.

Gościem wywołującym na sali takie napięcie był duński architekt Jan Gehl. W chwili, gdy piszę te słowa, kolejne polskie miasta szykują się na jego odwiedzinę, kolejne osoby wiele sobie po tych spotkaniach obiecują, a w Internecie krąży radosna wiadomość, że pojawił się dodruk *Życia między budynkami*, bo nakład z 2009 roku dawno już się wyczerpał. To nie przypadek, że Gehl jest w tej właśnie chwili koronowany w Polsce na guru dyskusji o mieście; spotkanie w Poznaniu dość wyraźnie pokazało, dlaczego tak jest. Konwent urządzony przez prezydenta Poznania odbył się dosłownie kilka tygodni po zakończeniu mistrzostw Europy w piłce nożnej. Zanim Gehl rozpoczął swój wykład dotyczący wyzwań, przed którymi stoją miasta XXI wieku, Grobelny wygłosił krótką mowę: wyjaśniał, dlaczego wraz z końcem mistrzostw zamknął się pewien okres w historii Poznania, i tłumaczył, że miastu na gwałt potrzebna jest wizja rozwoju na kolejne lata. Opracujemy ją w oparciu o mądrości profesora Gehla. Wizja duńskiego architekta przeistoczyła się z herezji wypowiedzianej przez aktywistów w oficjalne stanowisko miejskich władz (oraz Związku Miast Polskich, którego szefem jest Grobelny). Można postrzegać tę sytuację jako sukces ruchów miejskich, którym udało się narzucić władzy swój punkt widzenia, tudzież przekonać ją do obrania bardziej

proobywatelskiego kierunku rządów i kreowania miasta dla mieszkańców. Ale można też, idąc tropem Miesse-nowskim, odczytać to jako sygnał ostrzegawczy. I to dość poważny.

Każda władza potrzebuje ideologicznej legitymizacji swoich poczynań. W Polsce przez pierwsze lata po roku 1989 takimi metanarracjami były budowanie demokracji, doganianie Zachodu albo dekomunizacja. Potem na horyzoncie pojawiło się wstąpienie Polski do NATO, a następnie do Unii Europejskiej. Po 2004 roku należało znaleźć coś nowego. Euro 2012 spadło na Polskę jak manna z nieba. Decyzja o organizacji mistrzostw w Polsce i na Ukrainie zapadła latem 2007 roku – dokładnie w chwili, gdy światowe giełdy zaczęły pikować, a na amerykańskim rynku nieruchomości pojawiły się pierwsze sygnały nadchodzącego krachu. W Polsce zakładano jednak, że nie ma czego się obawiać, a dzięki Euro 2012 nasz kraj szybciej dogoni cywilizowany Zachód. Organizacja tego megawydarzenia (w Poznaniu sprowadzającego się, koniec końców, do trzech meczów piłkarskich) nazwana została przez jednego z publicystów „nowym planem pięcioletnim” i stała się doskonałą ideologią technokratycznego neoliberalizmu na szczeblu lokalnym. Nie był to krok do przodu, ale wręcz do tyłu. Jak świetnie zauważyli ekonomiści Larry Elliott i Dan Atkinson w kontekście dyskusji o londyńskiej olimpiadzie, organizacja tego rodzaju imprez nie pomaga dogonić liderów światowej gospodarki, a raczej jest znakiem, iż kraje organizujące te widowiska, w tym Wielka Brytania, pogrążają się w zapaści i idą w ślady gospodarek Trzeciego Świata. Jest to klasyczny modernizacyjny skok w tył¹².

12 Larry Elliott, Dan Atkinson, *Going South: Why Britain will have a Third World Economy by 2014*, Palgrave Macmillan, Hampshire–New York 2012, s. 7–10.

Niemniej jednak dzięki organizacji mistrzostw można było wytworzyć sytuację stanu wyjątkowego (gwarantowaną również tzw. „specustawą”, której celem było „ułatwienie” przeprowadzania inwestycji związanych z organizacją mistrzostw) i dzięki temu bez przeszkód prowadzić własną, partykularną politykę. W Poznaniu na przykład w ramach „wyciskania brukselki” (czyli wydawania pieniędzy od „cioci Unii”, jak określiła to kiedyś Hanna Gronkiewicz-Waltz¹³) zamiast zbudować linie tramwajowe rozwiązujące w mieście realne problemy komunikacyjne (na przykład postulowaną od lat linię na odizolowane osiedle Naramowice) zbudowano trasę, którą oficjalnie kibice mieli się przemieszczać na mecze, a która w rzeczywistości dowozi mieszkańców Poznania do centrum handlowego ulokowanego na peryferiach miasta. Euro 2012, zamiast przygotować kraj na nadciągający kryzys, umożliwiło realizację polityki pod hasłem „zastaw się, a postaw się” oraz dało fantastyczne narzędzia odpierania jakiegokolwiek krytyki. Tych, którzy twierdzili, że jest to piramidalne marnotrawstwo, można było oskarżyć o brak patriotyzmu. Nie chcą Euro, bo są złymi Polakami, a w dodatku źle życzą naszym piłkarzom.

Po zakończeniu Euro można było wyłożyć kawę na ławę. A zatem: wspomniane centrum handlowe szybko rozwiesiło w centrum miasta reklamy z radosną informacją, że poznaniacy dzięki Euro mają teraz do nich bliżej. Grobelny nie był już tak szczery, ale przyznał, że organizacja mistrzostw była dla niego swoistym eksperymentem, dzięki któremu władze dowiedziały się, co nowego da się zrobić. Na przykład z ulicy Żydowskiej zniknęły na jakiś

13 Miało to miejsce 19 lutego 2011 podczas spotkania w ramach „Łódź you like Warsaw” w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, zob. <<http://krzysztof nawratek.blox.pl/html/1310721,262146,14,15.html?1,2011>>.

czas samochody i na chodnikach pojawiły się ogródki kawiarniane. Z jednej strony uznał to za sukces, bo śródmieście ożyło, ale z drugiej strony lokalni restauratorzy okazali się przeciwnikami zamykania ulicy dla ruchu samochodowego. Bo klient zmotoryzowany jest wciąż w cenie. Stąd wniosek nasuwa się sam: w szukaniu nowych rozwiązań zawsze należy iść na kompromisy. I to właśnie w tym duchu Grobeleny zinterpretował godzinne wystąpienie Gehla. Duńczyk opowiadał głównie o tym, jak szczęśliwi i zdrowi są mieszkańcy Kopenhagi (którzy po mieście poruszają się pieszo lub rowerami) i jak nieszczęśliwi (oraz grubi i brzydki) są mieszkańcy Houston – jednego z najbardziej zmotoryzowanych miast na świecie. Grobeleny wytłumaczył swoim podwładnym opowieści Gehla następująco: przemienienie Kopenhagi z miasta dla samochodów w miasto dla mieszkańców (czyli, w jego rozumieniu, pieszych) zajęło dwa pokolenia, a zatem czeka nas bardzo długa i wyboista droga. A poza tym wszystkie zmiany należy zacząć od zmiany mentalności. Innymi słowy: będziemy mówić o Gehlowskiej wizji „miasta dla mieszkańców” jako o czymś, co można zrealizować tylko w odległej przyszłości, a nie tu i teraz. Teoria jest oczywiście słuszna, ale przecież okoliczności są dziś niesprzyjające, kasa miejska jest pusta albo „nie ma tradycji” (w ten sam sposób jeszcze niedawno prezydent Grobeleny uzasadniał promowanie transportu samochodowego i marginalizowanie transportu rowerowego¹⁴). Tak jak Euro 2012 miało być kołem zamachowym radykalnej modernizacji polskich miast (będą autostrady, turyści, inwestorzy, stadiony będą na siebie zarabiać etc.), tak teraz wizja Gehlowska ma stać się

14 *Nie ma tradycji, nie ma ułatwień. Z Ryszardem Grobelenym rozmawiają Natalia Mazur i Michał Wybieralski*, „Gazeta Wyborcza” Poznań, 4 maja 2009, dostępny w Internecie: <http://poznan.gazeta.pl/poznan/1,36001,6568389,Grobeleny_Nie_ma_tradycji_nie_ma_umatwien.html>.

takim horyzontem rozwoju miasta – horyzontem, do którego oczywiście nigdy nie dojdziemy.

Tak się złożyło, że w trakcie wizyty Gehla trwała w Poznaniu burzliwa dyskusja na temat tego, jak ma wyglądać przygotowywany w ramach organizacji Euro 2012 nowy budynek dworca kolejowego. W rzeczywistości projekt zakładał zastąpienie budynku dworca galerią handlową – dokładnie tak samo, jak to się wcześniej stało w Krakowie i Katowicach. Galeria handlowa została nazwana Poznań City Center, a w pewnym momencie inwestor chciał nawet, żeby PKP zmieniło oficjalną nazwę przystanku kolejowego „Poznań Główny” na „Poznań City Center”, de facto dostosowując rozkład jazdy do prywatnej inwestycji. Poznańskim ruchom miejskim udało się temu skutecznie sprzeciwić za pomocą ustawy o ochronie języka polskiego. Następnie inwestor próbował nazwać centrum handlowe „Poznań Główny City Center”, co również zostało skrytykowane przy użyciu rzeczonyj ustawy, a Grobelny, wobec kontrowersji narastających wokół tego pomysłu w mediach, ostatecznie nie poparł postulatów właściciela galerii handlowej¹⁵. Ale bitwa o to, któredy mają iść pasażerowie z przystanku tramwajowego na perony, była już trudniejsza do wygrania. Władze i inwestorzy forsowali trasę najdłuższą z możliwych (blisko pół kilometra) po to, aby pasażerowie, zanim trafią do pociągów, musieli przejść przez centrum handlowe i ustąpić miejsca samochodom, chodząc z walizkami w dół i górę przez przejścia podziemne. Poznańscy aktywiści pokazywali, że można tę trasę wyznaczyć inaczej, tak aby była o połowę krótsza, oraz że o wiele wygodniej będzie zrobić dla pieszych przejście naziemne.

15 *Poznań Główny: oficjalna nazwa nowego dworca PKP*, Epoznan.pl, 12 stycznia 2012, dostępny w Internecie: <http://www.epoznan.pl/news-news-29936-Poznan_Glowny_oficjalna_nazwa_nowego_dworca_PKP>. Niemniej jednak oficjalna strona centrum handlowego Poznań City Center to <www.poznanglowny.pl>.

Spotkanie z Gehlem zdawało się idealną okazją, aby poruszyć tę sprawę. Dlatego gdy przyszedł czas na pytania z sali, jeden z aktywistów zapytał słynnego profesora i urbanistę, co sądzi na temat przejść podziemnych, wspominając jednocześnie, że w Poznaniu toczy się obecnie żywa dyskusja na ten temat. Gehl odpowiedział, że nie zna tego konkretnego przypadku, więc nie może się do niego odnieść, ale może udzielić odpowiedzi ogólnej: ludzie nie lubią chodzić po schodach i dlatego w cywilizowanych miastach istniejące przejścia podziemne się zasypuje, a przy nowych inwestycjach absolutnie się takich nie buduje. Wydawało nam się, że sprawa jest więc jasna. Ale gdy potem inna osoba zapytała Grobelnego, czy w świetle wypowiedzi Gehla, przychyli się do wariantu krótszego i prostszego, prezydent odparł następująco: „Jak powiedział profesor Gehl, każdy przypadek należy rozpatrywać osobno”. Tak jest i teraz: inwestycja już się zaczęła i nie ma sensu jej na tym etapie zmieniać, bo byłoby to zbyt kosztowne. Innymi słowy, może i jest Gehl nowym guru nie tylko aktywistów, ale i władzy, ale to nie zmienia faktu, że będziemy się do niego odwoływać tylko wtedy, gdy będzie to dla nas korzystne. Dzięki temu łatwiej będzie nam robić to, co uznamy za słuszne. Tak też się stało – bój o krótszą drogę trwał kolejny rok i zakończył się klęską miejskich działaczy. Filip Springer tak relacjonował otwarcie budynku: „Kolejki ustawiły się do wszystkiego, nawet do ruchomych schodów. Dzieci wpadały w katatonię na widok darmowych balonów. Przed głównym wejściem stało kilku krawciarzy, palili fajki. Na szyjach mieli identyfikatory inwestora. Gęby im się uśmiechały od ucha do ucha. Wtedy zrozumiałem. Już jest pozamiatane i oni o tym od początku wiedzieli. Trzeba było tylko przeczekać szczekanie tych wszystkich oszołomów, trzeba było na chwilę schować głowę w piach i nie reagować – robić swoje. A potem rzucić tańsze o parę złotych gacie i kilka ładnych hostess...

Tanie gacie i fontanna – za mniej więcej tyle kupuje się w Polsce możliwość zrobienia w przestrzeni czegokolwiek, co się chce”¹⁶. Ostateczna oficjalna trasa z przystanku wynosi trzysta pięćdziesiąt siedem metrów długości. Coraz więcej pasażerów wybiera drogę krótszą, liczącą dwieście trzydzieści cztery metry. Co prawda trzeba przejść przez tory kolejowe, co jest nie tylko nielegalne, ale też niebezpieczne, jednak zajmuje to o połowę mniej czasu. Policja już zapowiada kontrole¹⁷.

IV

Koniunkturalizm nie jest jedynym powodem, dla którego nowy urbanizm stał się oficjalną ideologią polskiego establishmentu samorządowego. O ile ideologia Euro 2012 była ideologią inwestycyjną, o tyle teraz, gdy pieniądze na modernizację w większości wydano i trzeba zacząć spłacać kredyty, władze szukają ideologii na lata chude. Gdy gra toczy się o mniejszą stawkę, można spokojnie mówić, że to mieszkańcy są najważniejsi. I tak niewiele z tego wynika, a władze przynajmniej będą mogły obronić się przed zarzutami, że nie liczą się z potrzebami zwykłych ludzi. Po tym jak w Poznaniu wydano miliard złotych na przebudowę stadionu piłkarskiego, można bez problemu oddać dwadzieścia milionów na budżet obywatelski. Można zająć się małą architekturą, wybudować jakąś fontannę czy oddać do użytku ścieżkę rowerową, zrobić sobie przy tym zdjęcie i mieć dowód, że coś się dzieje. Dlatego nowa urbanistyka z jej dość ograniczonymi ambicjami idealnie

16 Filip Springer, *Świątynia*, 25 października 2013, zob. <<http://filipspringer.com/blog/?p=3642>>.

17 *Ile zajmuje droga na dworzec? „Na szagę” dwa razy szybciej*, TVN24, 2 listopada 2013, dostępny w Internecie: <<http://www.tvn24.pl/wiadomosci-poznan,43/ile-zajmuje-droga-na-dworzec-na-szage-dwa-razy-szybciej,368275.html>>.

wpasowuje się w ten trend. Mała skala, mała urbanistyka, więcej partycypacji. Miasto dla mieszkańców.

Podczas swojego wystąpienia Gehl mówił głównie o tym, że ludzie są najważniejsi, ale nigdy nie uściślił, kogo konkretnie ma na myśli. Gdy opowiadał o tworzeniu przestrzeni publicznych, pokazywał krzeselka i stoliki kawiarenek wychodzących na chodniki i deptaki – a przecież to nie jest prawdziwa przestrzeń publiczna, w której mogą się znajdować i czuć komfortowo wszyscy, bo żeby tam przebywać, trzeba mieć pieniądze na konsumpcję. Równie charakterystyczne było wychwalanie przez niego polityki Bloomberga w Nowym Jorku za to, że chce tam stworzyć miasto najbardziej na świecie zrównoważone środowiskowo. Gehl był zachwycony faktem, że po Manhattanie można teraz jeździć rowerem, a na Broadwayu jest mniej samochodów. Ale co z tego? To nie jest absolutnie miasto przyjazne dla większości mieszkańców, a ścieżki rowerowe na Manhattanie niewiele znaczą, bo mogą tam mieszkać tylko naprawdę bogaci. Jonathan Raban opisał kiedyś Nowy Jork jako miasto dwóch plemion: ludzi powietrza i ludzi ulicy. Ludzie powietrza, pisał, „lewitują jak fakirzy. Spora część ich dnia jest poświęcona na jazdę windą lub czekanie na nią; a windy odgrywają taką rolę dla kultury nowojorskich klas średnich, jaką miały gondole w renesansowej Wenecji. To stanowi fundamentalne rozróżnienie: móc nacisnąć przycisk i śmignąć do swojego apartamentu. Nieważne, czy mieszkasz na szóstym, szesnastym czy sześćdziesiątym piętrze: dostęp do windy oznacza, że twoje życie ma wystarczającą wyporność, aby uchronić cię przed »uziemieniem« i utrzymać nad powierzchnią miasta – będącą w Nowym Jorku synonimem porażki i zagrożenia”¹⁸. Pod rządami Bloomberga Nowy Jork stał

18 Jonathan Raban, *Hunting Mister Heartbreak: A Discovery of America*, Vintage Books London 1998, s. 80 [tłum. moje – K.P.].

się jeszcze bardziej spolaryzowany, nierówny ekonomicznie i społecznie¹⁹. Gehl zdawał się zupełnie tego nieświadomy – mimo że nie była to tajemnica poliszynela, a ruch Occupy rok wcześniej dość dobitnie pokazał, że Nowy Jork, podobnie jak cała Ameryka, to miasto podzielone na jeden procent „ludzi powietrza” i dziewięćdziesiąt dziewięć procent „ludzi ulicy”.

Podstawowe zło, z którym zdaje się walczyć Gehl podczas swoich rozlicznych podróży, nazywa się modernizm. Jego narracja o miastach była bardzo autobiograficzna. Opisywał, jak wielkim odkryciem było dla niego, że miasto to nie tylko budynki, ale też ludzie. Dokonał tego odkrycia w zasadzie przez przypadek – jako student architektury poznał, a potem poślubił socjolożkę. Awersja Gehla do modernizmu sprawia, że skupia się on na rozwiązaniach w skali mikro, na przykład na przerabianiu ulic na ścieżki rowerowe. Jedną z istotnych spraw, którą poruszali w dyskusji uczestnicy, była kwestia kurczenia się i starzenia miast oraz wydłużania śródmieść. Prezydent Grobelny stwierdził zdecydowanie, że nie to jest problemem, ale „pauperyzacja” śródmieść, czyli wyprowadzanie się zamożnych mieszkańców za miejskie peryferia. A potem wprost zapytał Gehla o to, jak działać, żeby zwiększać wartość działek w centrum, a duński urbanista wymienił kilka możliwości. Nowy urbanizm nie oferuje nam w zasadzie nowej wizji miasta, ale ten sam produkt, tyle że w wersji organicznej. Miasto neoliberalne, które jest czystsze, ładniejsze i bardziej „eko” – nie ma psich kup, są fontanny, ławeczki i rowerzyści.

Gehl obsesyjnie wracał do tego, że po mieście należy chodzić, bo to zdrowe. Może tak jest w Kopenhadze. W Poznaniu pewnie też. Ale jak to się ma do najważniejszych

19 Julian Brash, *Bloomberg's New York: Class and Governance in the Luxury City*, University of Georgia Press (Geographies of Justice and Social Transformation, t. 6), Athens 2011.

współczesnych procesów urbanizacyjnych? Czy w megamiście Lagos, w którym mieszka szesnaście milionów ludzi, też najważniejsi są piesi? W stolicy Bangladeszu, Dhace, nie ma praktycznie samochodów, a głównym środkiem transportu pozostaje rower albo riksza. Jest ono więc w pewnym sensie koszmarnym ucieleśnieniem postulatów nowego urbanizmu. Zresztą to właśnie biedne miasta są najbardziej ekologiczne, gdyż całe grupy społeczne żyją w nich z recyklingu²⁰. Na początku swojej prezentacji Gehl z dumą wymienił najbardziej egzotyczne języki, na które została przetłumaczona jego książka. Wspomniał też, że mimo iż jest ona dostępna po chińsku, to sami Chińczycy chyba jej nie przeczytali, zważywszy na to, co robią ze swoimi miastami. Nie za bardzo się temu dziwię. Chińczycy mają zdecydowanie większe ambicje, m.in. budują największy obszar metropolitalny na świecie o wielkości dwudziestu sześciu „większych Londynów”²¹. W nowym urbanizmie nie ma miejsca na szerszej zakrojone projekty modernizacyjne, wymagające większego zaangażowania władz i odważniejszej polityki. Jestem daleki od wychwalania urbanizacji po chińsku – dość wspomnieć, że ostatnio Chińczycy wybudowali w stolicy Angoli miasto-widmo na pół miliona mieszkańców. Luanda jest obecnie najdroższym miastem na świecie, kilogram pomidorów może tam kosztować i pięćdziesiąt złotych. Ceny mieszkań dochodzą do trzystu tysięcy dolarów, a połowa ludności żyje za mniej niż dwa dolary dziennie. Ten absurdalny system z jednej strony dostarcza Chinom surowców naturalnych

20 Katherine Boo, *Zawsze piękne. Życie, śmierć i nadzieja w slumsach Bombaju*, tłum. Adriana Sokołowska-Ostapko, Znak, Kraków 2013.

21 *China to create largest mega city in the world with 42 million people*, „Daily Telegraph”, 24 stycznia 2011, dostępny w Internecie: <<http://www.telegraph.co.uk/news/worldnews/asia/china/8278315/China-to-create-largest-mega-city-in-the-world-with-42-million-people.html>>.

(Angola ma ogromne złoża ropy, którą płaci Chińczykom), a z drugiej – utrzymuje chińską maszynę wzrostu gospodarczego²². Fakt, nie ma tam miejsca dla „mieszkańców”, ale nie dlatego – jak twierdzi Gehl – że zabrał je samochód.

Przykład Chin pokazuje, że nowa urbanistyka i jej gwiazdy są już trochę jak Deep Purple – wciąż grają koncerty, ale to głównie odgrzewane piosenki sprzed wielu lat – i znajdują się nieco obok procesów, które w tej chwili są najważniejsze na świecie. Z sali padły dwa pytania, które się do tego odnosiły i dotyczyły globalnego ocieplenia, nasilających się anomalii pogodowych i polityki wodnej w mieście (sprawy niezmiernie istotnej nie tylko w miastach tzw. globalnego Południa, ale też w Europie)²³. Gehl na jedno pytanie odpowiedział, że się nie zna, a na drugie, że go nie rozumie. Ale mimo to, a może właśnie dzięki temu, duński Deep Purple wciąż znajduje fanów, a coraz więcej polskich magistratów chce dołączyć do tego objazdowego tańca z gwiazdami architektury. W sytuacji, gdy pieniądze już zostały wydane, nowa urbanistyka z jej ograniczonymi ambicjami idealnie nadaje się do ich celów i może być (choć nie musi) zbieżna z promowaniem polityki otwarcie sprzyjającej gentryfikacji, ciągłym ograniczaniem obowiązków i zadań administracji publicznej do małych, często symbolicznych czy kosmetycznych gestów. W ubiegłym roku, po raz pierwszy od końca drugiej wojny światowej, w większości europejskich krajów liczba sprzedanych rowerów przekroczyła liczbę sprzedanych samochodów²⁴. To pokazuje,

22 Marcus Power, *Angola 2025: The Future of the 'World's Richest Poor Country' as Seen through a Chinese Rear-View Mirror*, „Antipode”, t. 44, nr 3 / 2012, s. 993-1014.

23 Christian Parenti, *Tropic of Chaos: Climate Change and the New Geography of Violence*, Nation Books New York 2012; Brian Stone, *The City and the Coming Climate: Climate Change in the Places We Live*, Cambridge University Press, New York-Cambridge 2012.

24 Zob. <<http://www.npr.org/blogs/parallels/2013/10/24/240493422/in-most-every-european-country-bikes-are-outselling-cars>>.

iż nowa urbanistyka trafiła już pod strzechy. Tyle tylko, że w tej chwili ogranicza ona nasze pole widzenia, zamiast je poszerzać. Gehl nie ma nic do powiedzenia nie tylko na temat zmian klimatycznych, ale też tak fundamentalnych kwestii jak polityka mieszkaniowa jako wyzwanie cywilizacyjne. W takich krajach jak Polska, gdzie połowa mieszkań jest przeludniona, a rzekomy boom budowlany ostatniej dekady był porównywalny do siermiężnego ponoć okresu gomułkowskiego (jeśli chodzi o liczbę oddanych mieszkań), polityka mieszkaniowa to sprawa o wiele istotniejsza niż przejścia dla pieszych czy elementy małej architektury²⁵. Ale gdy zakładamy, że małe jest piękne, okazuje się, że większe sprawy nie mieszczą się w naszym horyzoncie myślowym.

V

Szanse, że książka Miessena stanie się – podobnie jak *Życie między budynkami* – hitem wśród samorządowców, są minimalne. Dzieje się tak między innymi dlatego, iż formuła tej książki, będąca swoistym antymanifestem, sprawia, że nie można jej użyć jako ideologicznego parawanu, za którym prowadzi się *business as usual*. Książka Miessena ma wbudowany bezpiecznik i stanowi ostrzeżenie: nowy urbanizm i system gwiazdorski, opisywane przez Miessena pod hasłem architektury Bilbao, nie gwarantują bardziej demokratycznych miast. Można nawet powiedzieć, że są wręcz zbieżne z neoliberalnym autorytaryzmem²⁶. Nie jest to zaskakujące, gdyż właśnie w chwilach, kiedy władza jest

25 Lech Mergler, *Deweloperzy na swoje (wyszli)*, „Res Publica Nowa” (online), 11 października 2013, dostępny w Internecie: <<http://publica.pl/teksty/deweloperzy-na-swoje-wyszli>>.

26 Erik Swyngedouw, *Authoritarian governance, power, and the politics of rescaling*, „Environment and Planning D: Society and Space”, nr 18(1) / 2000, s. 63–76.

w kryzysie, sięga się po narzędzia partycypacyjne. Niektórzy może pamiętają hasło „małe jest piękne”, niezwykle popularne w, a jakże, kryzysowych latach osiemdziesiątych. Pojawiło się ono po raz pierwszy w tytule książki Ernsta Schumachera wydanej w Polsce w 1981 roku²⁷. Doskonale pasowało do krytyki gierkowskiej gigantomanii i zachęcało do promowania rozwiązań na ludzką skalę. Po wprowadzeniu stanu wojennego ekipa Jaruzelskiego próbowała zbliżyć się do obywateli między innymi poprzez politykę trzech „S” – samorządności, samodzielności i samofinansowania. Słowo „partycypacja” było w tamtych czasach często używane, choć oznaczało głównie udział robotników w zarządzaniu przedsiębiorstwem.

Lata osiemdziesiąte, jak świetnie pokazał Dariusz Grala, nie były okresem stagnacji, ale ciągłego poszukiwania modelu gospodarczo-politycznego, który z jednej strony byłby efektywny, a z drugiej cieszył się społecznym poparciem²⁸. Władze były w pełni świadome, że „straciły odbiór” w społeczeństwie, i dość desperacko szukały płaszczyzny porozumienia z nim. Gdy swego czasu czytałem lokalną prasę z tamtych lat, uderzyło mnie, że w porównaniu do tych samych gazet z okresu gierkowskiego czy gomułkowskiego drukowano wtedy ogromną liczbę listów do redakcji – czasami na dwie płachty. Dziennikarze doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że konkurują o czytelników tzw. bibułą i muszą być bardziej „interaktywni”. Dawano się ludziom wygadać. Jak opisuje to Grala, z jednej strony robotnicy mieli większy wpływ na kierowanie przedsiębiorstwami, z drugiej – „centrum ekonomiczne” było coraz mocniej

27 Ernst Friedrich Schumacher, *Małe jest piękne. Spojrzenie na gospodarkę świata z założeniem, że człowiek coś znaczy*, tłum. Ewa Szymańska, Jerzy Strzelecki, wstęp Jan Strzelecki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1981.

28 Dariusz T. Grala, *Reformy Gospodarcze w PRL (1982-1989). Próba uratowania socjalizmu*, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2005.

zawężane, a istotne decyzje i tak podejmowano ponad głowami nie tylko robotników, ale także dyrekcji poszczególnych przedsiębiorstw. W ramach eksperymentów formalnych wciąż zmieniano przepisy, co jeszcze pogłębiało instytucjonalny chaos. Przywrócono nawet szereg „burzowych” instytucji, takich jak urząd Rzecznika Praw Obywatelskich, Narodowy Bank Polski oraz Naczelną Izbę Kontroli, a Sejm i Senat zaczęły mieć większe znaczenie. Zorganizowano referendum, za pomocą którego chciano uzyskać społeczną akceptację w zasadzie neoliberalnych reform ekonomicznych. Gdy okazało się ono fiaskiem, postanowiono, że łatwiej będzie oddać władzę, a ekipa Solidarności, ciesząca się większym poparciem społecznym, będzie w stanie zrobić to sprawniej²⁹.

Miessen próbuje przygotować nas na świat, w którym nie będzie już pieniędzy na finansowanie wielkich inwestycji architektów. Świat bardziej przypominający kryzysowe (i autorytarne) lata osiemdziesiąte niż to, co jest nam znane. Obecnie obserwujemy równoczesny rozkwit budżetów obywatelskich i próby ograniczenia demokracji w innych sferach. Jesienią tego roku, w czasie gdy nad Hanną Gronkiewicz-Waltz wisiało widmo odwołania poprzez referendum, w Kancelarii Prezydenta RP powstał projekt ustawy, która rozróżniając lokalne referenda na „merytoryczne” (tak określano referenda tematyczne) i takie, które merytorycznymi nie są (tak opisywano referenda odwoławcze), utrudnia, a wręcz uniemożliwia, mieszkańcom odwoływanie prezydentów czy burmistrzów. Powód jest prosty: referenda odwoławcze stały się ostatnio równie popularne jak budżety obywatelskie – tylko w trakcie

29 Kazimierz Z. Poznański, *Poland's Protracted Transition. Institutional change and economic growth 1970-1994*, Cambridge University Press, Cambridge 1996.

ostatniej kadencji odbyło się ich aż osiemdziesiąt pięć³⁰. A zatem wyłącznie te rozwiązania, które nie podważają w rażący sposób obecnego systemu sprawowania władzy, są uznawane za dopuszczalne.

Sprawa ta pokazuje, jak powszechne wśród elit rządzących stało się to, co Jacques Rancière nazywa, „nienawiścią do demokracji”³¹. Kilka miesięcy wcześniej inna wersja projektu tej samej ustawy wzbudziła stanowczy sprzeciw Pawła Adamowicza, prezydenta Gdańska i szefa Unii Metropolii Polskich, który napisał do Kancelarii Prezydenta, że niektóre z proponowanych tam przepisów otwierają furtkę dla „pieniaczy i osób z zaburzoną psychiką”, z którymi nie ma zamiaru dzielić się władzą³². Była to swoista chwila prawdy – Adamowicz pokazał, co naprawdę myśli o mieszkańcach i demokracji. Momentów takich było zresztą ostatnio więcej: w trakcie kampanii referendalnej w Warszawie premier, a następnie prezydent RP zaapelowali do warszawiaków, aby zrezygnowali oni z tego, co w innym kontekście opisywane jest jako obywatelski obowiązek, i nie szli do urn. Następnie premier ogłosił, że w razie gdyby warszawiacy jednak poszli na referendum i odwołali Hannę Gronkiewicz-Waltz, powoła ją na komisarza Warszawy. Tym samym przyznał, że uznaje mechanizmy demokratyczne tylko wtedy, gdy działają na jego korzyść. To pewnie dlatego w 2010 roku, kiedy trwała kampania związana z referendum odwoławczym prezydenta Łodzi Jerzego Kropiwnickiego, politycy

30 *Będzie trudniej odwołać włodarza*, „Rzeczpospolita”, 30 sierpnia 2013, dostępny w Internecie: <<http://www.rp.pl/artukul/1043304.html>>.

31 Jacques Rancière, *Nienawiść do demokracji*, tłum. Maciej Kropiwnicki, tłum. aneksu Agata Czarnaacka, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2008.

32 *Samorządowcy o swoich mieszkańcach: nie będziemy się dzielić władzą z „pieniaczami”*, „Gazeta Wyborcza” (online), 7 marca 2013, dostępny w Internecie: <http://wyborcza.pl/1,75478,13517341, Samorządowcy_o_swoich_mieszkancach_Nie_bedziemy_sie.html#TRrelSST>.

PO zachęcali obywateli do udziału w referendum. Wtedy służyło ono ich interesom.

Jesteśmy obecnie w sytuacji, w której już nie jest oczywiste, czym jest demokracja. Demokracja przedstawicielska pogrąża się w poważnym kryzysie i dlatego łątana jest wybiórczo dobieranymi instrumentami demokracji bezpośredniej, aby można było legitymizować poczynania władzy. Kampania wokół referendum odwoławczego wobec Hanny Gronkiewicz-Waltz ujawniła ów kryzys i fakt, iż nie do końca już wiemy, co jest, a co nie jest demokratyczne. Sondaże opinii publicznej przepowiadały dość łatwe odwołanie prezydent Warszawy (prognozowano frekwencję w wysokości nawet trzydziestu sześciu procent, przy wymaganych dwudziestu dziewięciu procentach), a jednocześnie okazało się, że gdyby zorganizować ponowne wybory na prezydenta Warszawy, wygrałaby je właśnie Gronkiewicz-Waltz. Dlatego warszawska Platforma Obywatelska w pewnym momencie rozważała scenariusz, według którego po przegranym referendum organizują wcześniejsze wybory, wystawiają odwołaną prezydent i odnoszą sukces. A zatem w obu przypadkach dochodziło do sytuacji, kiedy mniejszość za pomocą dostępnych instrumentów zaczynała mówić w imię większości: w imieniu warszawiaków odwoływała Hannę Gronkiewicz-Waltz ze stanowiska prezydenta lub ponownie ją na nie powoływała. Dlatego Miessen zachęca nas do przemyślenia, a nawet wymyślenia na nowo tego, czym jest demokracja. Nie jest ona zestawem instytucji, które da się wyciąć z jednego kontekstu lub kraju i wkleić do innego. Po roku 1989 zakładaliśmy, że na tym właśnie polega budowanie demokracji. Miessen pokazuje, że nie należy się zbyt przywiązywać do zastanych instytucji i że ważniejsza jest zasada demokratyczna, a nie jakiś konkretny jej model. W przeciwieństwie do tego, co głosił Francis Fukuyama, historia demokracji jeszcze się nie skończyła.

VI

Jaki jest zatem najważniejszy wniosek wypływający z tej książki? Miessen pokazuje, że prawdziwa, a nie fasadowa, partycypacja polega na nierozłącznym powiązaniu odpowiedzialności ze sprawczością. Tymczasem partycypacja używana jest w Polsce głównie do przeprowadzania tego, co Miessen nazywa outsourcingiem odpowiedzialności – przerzucania na obywateli niechcianych obowiązków, współuczestniczenia z nimi w odpowiedzialności za miasto nie po to, aby dzielić się władzą, ale by efektywniej ją sprawować. Gdy w 2011 roku prezydent Poznania ogłosił sondaż deliberacyjny w sprawie budżetu, w ramach którego czterdziestu mieszkańców miało się wypowiedzieć, gdzie ich zdaniem należy szukać oszczędności, dziennikarz Michał Wybieralski pisał: „Choć nie jestem zwolennikiem prezydenta, to przeciw sondażowi nie będę protestować. Traktuję go jak gest ze strony Ryszarda Grobelnego, danie społeczeństwu przysłowiowego palca. Nic to, że motywacja prezydenta i stan kasy miasta wskazują, że to palec środkowy. Zamiast go odrzucać, wolę zastanowić się, jak zabrać prezydentowi całą rękę”³³. Dzięki Miessenowi wiemy już, że ręki nigdy nie dostaniemy. Droga do niej nie prowadzi przez środkowy palec.

Moda na nowy urbanizm, a także powrót zainteresowania modernizmem wynikają m.in. z odkrycia faktu, że możemy mieć wpływ na otaczającą nas rzeczywistość. Jest to odkrycie dość banalne, ale należy pamiętać, że przez wiele lat po roku 1989 w polskich miastach dominował technokratyzm połączony z konserwatyzmem. Ten pierwszy

33 Michał Wybieralski, *Sondaż jest dobry. Dają palec, bierzmy rękę*, „Gazeta Wyborcza”, Poznań, 17 maja 2011, dostępny w Internecie: <http://poznan.gazeta.pl/poznan/1,36037,9609658,Sondaz_jest_dobry_Daja_palec_bierzmy_reke.html#ixzzzjVnE6mKz>.

zakładał, że miastem powinni zarządzać fachowcy, a mieszkańcy nie mają prawa się do tego mieszać³⁴. Według paradigmatu konserwatorskiego z kolei miasto to przede wszystkim zbiór zabytków, które należy chronić, pielęgnować, ewentualnie odnawiać, ale absolutnie nie gruntownie zmieniać. Fascynacja modernizmem, którą od kilku lat możemy w Polsce obserwować, jest właśnie reakcją na wcześniejsze uziemienie mieszkańców. O ile przez ostatnie dwadzieścia lat przeszłość, jak ujął to Jürgen Habermas, stanowiła jedyny możliwy model dla przyszłości, tak dzięki neomodernizmowi odkrywamy, że możemy współtworzyć przyszłość³⁵. Mimo że moderniści popełnili wiele błędów, nie można odmówić im odwagi. Nie interesowały ich kosmetyczne zmiany czy niwelowanie nieprzyjemnych konsekwencji kapitalizmu. Chcieli zburzyć to, co uznali za złe, i zbudować na ruinach nowe, lepsze miasto. Choć Mieszen dość krytycznie rozprawia się z modernizmem, pokazując, że fala fascynacji architekturą ze stajni Le Corbusiera jest w dużej mierze polskim fenomenem, zachęca też, by podążać ich śladem i nie bać się odważnych rozwiązań.

Czy miasta faktycznie straciły swą podmiotowość i nie można już nimi efektywnie rządzić, a tylko próbować sterować ich dryfem? Czy da się wyplątać z sytuacji, w której ludzie powietrza, zamieniający przestrzenie publiczne w Polsce – jak dworzec w Poznaniu – w prywatne kopalnie zysku, skutecznie uziemiają resztę? Jeszcze kilka lat temu wydawało nam się, że naprawa demokracji jest kwestią techniczną – wystarczy wprowadzić szereg instrumentów, takich jak budżety partycypacyjne, a sprawa będzie załatwiona. Teraz wiemy, że nie jest to kwestia wyłącznie

34 Zob. Lech Mergler, Kacper Pobłocki, Maciej Wudarski, *Anty-bezradnik przestrzenny. Prawo do miasta w działaniu*, „Res Publica Nowa”, Warszawa 2013.

35 Jürgen Habermas, Michael Haller, Max Pensky, *The Past as Future: Vergangenheit Als Zukunft*, University of Nebraska Press, Lincoln 1994.

praktyki czy nawet kilku dobrych praktyk. To sprawa bardziej fundamentalna. Przygoda z partycypacją zaprowadziła nas w zupełnie nowe miejsce – do punktu, w którym musimy na poważnie zastanowić się, czym tak naprawdę jest demokracja. Miessen pokazuje, że narzędzia, po które dotychczas sięgaliśmy, są nieskuteczne, a nawet, przeciwnie, skuteczne. O wiele ważniejsze od pytania, kto partycypuje w mieście, jest pytanie o to, kto jest za nie odpowiedzialny. Rafał Drozdowski, opisując oddolne praktyki niezależnej, a nawet – jak nazywa to Maliq Simone – „pirackiej” partycypacji mieszkańców w kształtowaniu przestrzeni, zauważył, że „posiadanie stałych, powtarzających się obowiązków [związanych z utrzymywaniem takich nieformalnych struktur jak np. ogródki pod blokiem – K.P.] jawi się tu jako rodzaj przywileju [...]. Po drugiej stronie są »ci, co nic nie muszą«. Ale to właśnie jest samą esencją ich społecznego wykluczenia. Ów podział na tych, którym (jeszcze) nie odmawia się prawa do posiadania obowiązków [...], oraz tych, którym już je odebrano (bądź którzy sami się go pozbawili), jest notabene chyba jedną z najbardziej dramatycznych osi dzisiejszych nierówności”³⁶. Większość polityk miejskich, nie pozostawia złudzeń Drozdowski, idzie obecnie w kierunku uziemiańcia mieszkańców; to ludzie powietrza wciąż zarządzają miastem, zatrzymując dla siebie kompetencje sprawcze i pozbywając się jednocześnie odpowiedzialności za własne działania. Jednym z bardziej dramatycznych konfliktów, które możemy obecnie obserwować, pisze Drozdowski, jest właśnie walka o „zachowanie tego fundamentalnego rodzaju godności, jakim jest bycie

36 Rafał Drozdowski, *Agory i kluby – społeczny pomysł na uspołeczniające się miasto* [w:] *Niewidzialne miasto*, red. Marek Krajewski, Fundacja Bęc Zmiana, Warszawa 2012, s. 57; AbdouMaliq Simone, *Pirate Towns: Reworking Social and Symbolic Infrastructures in Johannesburg and Douala*, „Urban Studies”, t. 43, nr 2, 1 lutego 2006, s. 357–370.

uprawnionym do »zaangażowania w życie«³⁷. To właśnie o tym, jak angażując się w życie, należy połączyć na nowo sprawczość z odpowiedzialnością, jest ta książka. Odpowiedzialność na razie jest na nas zrzucana z góry, jako swoisty obowiązek. Ale jest też prawem. Miessen stara się nam powiedzieć, że najwyższy czas nauczyć się z tego prawa korzystać.

37 Rafał Drozdowski, *Agory i kluby...*, op. cit., s. 58.